MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 4 WARSZAWA, 23 STYCZNIA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

ROCZNICA STYCZNIOWA

„Jaka szkoda tego heroizmu! I cóż dobrego zrobili? Nic zgoła; rózga nad krajem wisząca stała się tylko dotkliwszą".

B. F. Trentowski.

TE SŁOWA z „Chowanny" Trentowskiego dziwnie są aktualne, gdy wspominać powstanie styczniowe. Rzeczywiście — siedemdziesiąt pięć lat temu całe jedno pokolenie zmarnowało swój zapał i szlachetnym heroizmem ściągnęło tylko klęski na kraj. Jest to tak żałobna rocznica, jak żadna w naszych dziejach. I ze wszystkich powstań, to ostatnie, najbardziej romantyczne i najbardziej chyba nam bliskie, jest też najtragiczniejsze i najsurowiej przez nas wszystkich ocenione.

Myślenie „rocznicowe", jeśli tak rzec można— powinno być zawsze nauką. Te dni to są niejako „Dziady" narodowe—zaduszki wspomnień. I przez wszystkie te dni rośnie i bogaci się teraźniejszość. W nich kryje się moc siły i moc przestrogi.

Ale wróćmy do tej specjalnie rocznicy. Jest to rocznica żałobna. Powtórzę nawet raz jeszcze, tak żałobna jak chyba żadna w naszych dziejach. Bo upokarza nad wyraz świadomość, że naród działał wtedy za obcym, wrogim podszeptem, wbrew sobie i swojej istocie, jak jakiś bezwłasnowolny prowadzony za rękę. Historyczne badania docierają już coraz lepiej do tej smutnej prawdy.

Nici subtelnej intrygi stają się coraz widoczniejsze po wieku. A i ze współczesnych rozumieli niektórzy koszmarną reżyserię dramatu. Niech świadczą o tym te słowa z listu Mieczysława Pawlikowskiego: „Wyobraź sobie gracza — za plecami jego stoi jakiś wujaszek lub ciotunia i ciągle mu czyni uwagi i podając rady — co drugą lub trzecią kolej — sam wyrzuca mu kartę z ręki... najgłupiej w świecie! A karta szalenie szczęśliwa dostaje mu się do ręki... a jego przeciwnik szalone co chwila robi pomyłki! a on przegrywa—wszystko—wszystko! całą przyszłość—cały majątek — przez co? przez ową ciotunię, przez owego wujaszka, którzy oboje nad jego głową radzą i z rąk mu wyrzucają karty—czuje, że przegrywa — i wie, że przegrywa przez nich — i nie może temu przeszkodzić... Włosy jeżą mu się na głowie. Chwyta się za czoło — rzuca okiem na swego partnera—i dostrzega—cóż? Oto dostrzega na domiar złego, że jego partner jest w zmowie z przeciwnikiem!" Tak zaiste wyglądała wtedy Polska i te czasy to najgłębsza doba naszej niewoli. Po tej klęsce już przyszedł świt; Naród odzyskał swą świadomość. A pierwej tak wielkiej niewoli i takiej duchowej niesamodzielności jeszcze nie było. Stąd taka wdowia krepa żałoby nad tą rocznicą.

Powstanie najbardziej romantyczne. Tak, to styczeń właśnie a nie listopad kryje czar romantyki. Styczeń czamarek, broni myśliwskiej i bezładnego skupiania się po lasach, — nie listopad wymusztrowanej armii, aż zamądrych nawet strategików i bitew, o których dzieła uczone pisano. Pokolenie listopadowe nie czytało jeszcze ani „Ksiąg pielgrzymstwa", ani „Kordiana", ani „Psalmów". Nie unosiła się nad jego kolebką egzaltowana atmosfera mesjanizmu i ofiary. Dopiero styczniowe wyrosło w atmosferze klęski; jego matki nosiły „czarne sukienki", jego młodości nie złocił oślepiający blask epopei.

Różnica bardzo zasadnicza i bardzo wiele tłomacząca. Tłomacząca przede wszystkim najwyraźniej ową przedziwną łatwowierność pokolenia. Zabardzo zlekceważono sobie „szkiełko i oko“. Zapatrzono się w błękity i dano się tu na ziemi poprowadzić na manowce. A wielki pedagog, który chciał dać system prawdziwie narodowego wychowania, tak przekonywująco pisał o „niebezpieczeństwach wybujałej fantazji, czyli umu”. Tak ostro tu charakteryzował Polaków! Niestety, jego mądre książki poszły w kąt i spleśniały na bibliotecznych półkach, a złoty piasek nieżyciowej poezji zaprószył wszystkim oczy. Jaka szkoda, że nie zachowano równowagi! Tylko piękna zostało dużo,—zostały „echa leśne”.

Powstanie najbardziej b l i s k i e... I to zarówno czasem, jak uczuciowo. Lat siedemdziesiąt pięć to niespełna trzy pokolenia. Dziadkowie nasi walczyli gdzieś po polach—babki nasze to „styczniowe dziewczątka”. I gdy o listopadzie, o insurekcji uczymy się już tylko z książek, lub z utrwalonego zasłyszenia—to o styczniu świadkowie naoczni nam mówili. Te czasy dla nas więc żyją.

Wystarczy przymknąć oczy—przypomnieć sobie dziecinne opowieści by zobaczyć te czasy. Oto powstańcy wyruszają z Krakowa i w ostatniej chwili gnany niepokojem i troską ojciec zdołał przemocą, niemal już z oddziału zabrać wątłego i słabego chłopczynę; tego który mógł iść, sam na tę wyprawę pobłogosławił. To trudno,— danina krwi dla Ojczyzny powtarza się w każdym pokoleniu;—i jego kiedyś ojciec dwudziestoletnim do wojska sam odwiózł, gdy bito w listopadzie w tarabany.

Oto bitwa pod Grochowiskami. Popłoch bezładny — wróg ściga wszystkich tych, co popierali powstanie. Rewizje, nocne napady. Przerażone oczy dziecka, niczem w złej bajce jakiej dostrzegają w zimowej nocy za oknami kozackie papachy. Ojca aresztują, dwór pustoszeje — rodzina cała ucieka do Galicji, za Wisłę. „Polskie dzieci” w Bochni, w czarnych sukienkach budzą sensację i współczucie.

Wiele, wiele wspomnień, nauka nie z książek, ale życia.

N a j t r a g i c z n i e j s z e—bo tragiczna jest ta sytuacja oszukiwanego gracza, bo tragiczna i dramatyczna jest każda ofiara. Tragiczny i oburzający wprost kontrast doli reżyserów i wykonawców. Oto co pisze Ludwik Żychliński dowódca „dzieci Warszawy”:— „kilkakrotnie też w restauracji hotelu Saskiego (w Krakowie) słyszałem o niechybnej interwencji Napoleona III w sprawie polskiej i nieraz patrzałem, jak ci dygnitarze, politycy, dowódcy bez oddziałów, zapijali starego węgrzyna i szampana i zajadali truflami nasycone kapłony, gdy tymczasem powstańcy w lasach marli z głodu i zimna”.

A konflikt sumienia? Iść czy nie iść? Co lepsze dla kraju? Ileż osób szamotało się wtedy jak Popiel, który powstanie uważał za nonsens, niemal za zbrodnię, sam mu się z ogromną odwagą cywilną, gdzie mógł przeciwstawiał, ale syna w bój posłał, i sam nawet miał te pokusy, bo „taki jednak jest dualizm w poczuciu serc naszych, kiedy widzimy choćby pozór narodowej sprawy, że miotała mną ochota, by rzucić się w tę walkę i znaleźć w niej koniec”. I dalej „i to jest prawdziwie tragiczna w naszych powstaniach sytuacja. Gdy krew się leje, choćby bezużytecznie, gdy jedni poświęcają się w szale i giną, czy wolno obwinąć się w płaszcz roztropności i patrzeć bez udziału? Zwycięża tu więc nie rozumowanie, ale uczucie”.

Takich rozdźwięków, takiej nieuniknionej winy w tym cokolwiek się nie zrobi i takich kontrastów złej i dobrej woli, w tej skali, nie ma żadne powstanie, bo to było najbeznadziejniejsze ze wszystkich i najbardziej fatalne w założeniu. Fatalne w tym znaczeniu, że owoce jego musiały być złe i w tym innym równie tragicznym, że ludzie miotali się tam prowadzeni przez fatum, zahipnotyzowani cudzą wolą i fatalistycznie gotowi nie na zwycięstwo, a na ofiarę.

I dlatego dziś taki surowy sąd — nieraz aż wprost krzywdzący to bohaterstwo, które się po leśnych mogiłach chowa. Ale „wierna rzeka” narodowego sumienia rozumie i wybacza wszystko. Więc nie zabraknie tam nigdy kwiatów. Zawsze będziemy dumni z tych właśnie dziadków, którzy swego czasu nie mędrkowali, ale poszli do powstania.

A nauka? Że charakterowi polskiemu brak równowagi. Że prawdziwy Polak, ten Polak nowy, musi być typem wszechstronnym, że nie może go cechować „idealność w rozbracie z idealnością”. Wprawdzie „ideały są złotymi gwiazdami na duszy błękicie”, ale i świat realny ma swoje prawa. Ziemia i niebo plączą się ciągle. Powtórzmy więc sobie za Trentowskim, że „rzeczywisty człowiek wie, że jest półszatanem i półaniołem; wie, że żyje na ziemi, a ta jest piekłem i niebem w wiecznym sporze i w wiecznym przymierzu”. Trzeba więc ciągle godzić te sprzeczności i pogłębiać przez to hart duszy, a droga do tego jedna jedyna: „Bóg jest naszym ochmistrzem najwyższym”— to też „cel walki naszej jest Boski i zwycięstwo bliższe, niźli się spodziewasz”. Każda nauka jest nauką zwycięstwa, nawet ta jaką się czerpie z klęski.

KAROL STEFAN FRYCZ

ODWIECZNE OBLICZE DZISIEJSZEJ POLITYKI NIEMIECKIEJ

MYLĄ SIĘ ci, którzy sądzą, że powyższy tytuł zawiera błędną myśl, ponieważ ich zdaniem nie można na tak krótkim odcinku czasu, bo zaledwie od 4 lat istnieje hitleryzm, zmierzyć skutków jego wpływu, stwierdzić kierunku jego dążeń, zatem przekonać się o tym, co ta nowa ideologia ma wspólnego z Germanią wilhelmowską. Zapominają bowiem, że psychika niemiecka już była urobiona i dlatego, że jej odpowiadała taka właśnie interpretacja życia politycznego i społecznego — hitleryzm znalazł w niej idealny dla siebie teren do rozkwitu.

Ale, słyszy się dalej, celem jego przecież jest utrzymanie się przy życiu wraz z narodem, co należy do zadań ekonomicznych, a nie politycznych. Słusznie. Każdy bowiem żyjący organizm do tego dąży. Ale niewiadomo czemu lis np. we wykonaniu czynności niezbędnych do życia okazuje się bardzo przebiegły. Snadź, ułatwia sobie tym zdobywanie pokarmu. Otóż czy owa nie mająca poza tym racji bytu przebiegłość nie stanowi dlań środka politycznego do osiągnięcia celów ekonomicznych, czyli utrzymania się przy życiu? Czy nie bywa tak samo u ludzi, którzy w dodatku posiadają rozum i bardziej rozwinięte namiętności? Przecież nikt tych namiętności u progu ekonomii nie zostawia, podobnie jak w żadnym sporcie nie walczy bez zapału. Innymi słowy, w ekonomii jako utożsamienie utrzymania się przy życiu mniej, niż gdziekolwiek indziej, zaistnieć może obiektywność. Ekonomia, a nie polityka jest w gruncie rzeczy tym środkiem spornym w stosunkach ludzkich. I na płaszczyźnie tej właśnie najtrudniej jest osiągnąć jakiekolwiek porozumienie, o ile poprzednio stosunki polityczne nie były zdefiniowane. Polityka to idea. Ideami kieruje się świat. Ekonomia operuje uczuciami. To ona wprowadziła w życiu politycznym owe groźne krzyki: Nasz naród się dusi, bo nie ma powietrza, bo nie ma przestrzeni. Jak tu zatem trzeźwo mówić z tymi, co w dodatku twierdzą, że z głodu umierają. Na cztery strony świata roztrąbione hasła te mogą tylko wzmóc namiętności i rozbudzić nienawiść do sąsiada, do reszty ludzkości.

Otóż w takim właśnie oświetleniu niektórych punktów spornych i niezależnie od okresu historycznego należy się zastanowić nad stosunkiem Niemiec do sąsiadów. Niemcy, uczy nas Fichte, z którego się wywodzi w prostej linii hitleryzm z całym swym arsenałem rasistowskim i politycznym, Niemcy zjednoczone będą postrachem Europy, tak samo, jak czynnikiem burzącym jej równowagę było już cesarstwo Rzymskie narodu niemieckiego w średniowieczu. Pod płaszczykiem unifikacji Europy cesarze niemieccy prowadzili jeno politykę zaborców. Z punktu widzenia psychicznego motorem ich działalności było niezadowolenie, podobnie jak nim było, jest i będzie zawsze u Anglików interes Wielkiej Brytanii. Było to, rzec można, niezadowolenie ludzi mało dojrzałych, czyli mało cywilizowanych i trudno umiejących się zastosować do własnego losu. Niemiec jest bowiem zawsze niezadowolony z rzeczywistości i jak dziecko z tego co ma. Zdradza wyraźnie te tendencje w poezji: Liryzm go wprowadza w świat nierealny, on się tego domaga, Francuz natomiast nie chce tracić kontaktu z ziemią karmicielką i pragnie widzieć jasno nawet w liryce.

Również da się to stwierdzić nawet pod inną postacią w nauce niemieckiej. Tak powinno by być, zatem wszelkie wysiłki pójdą w tym kierunku, aby wykazać, że tak jest. Dzięki jednak takiej systematyce, której najlepszy obraz dał nam Kant, nauka postąpiła olbrzymim krokiem naprzód. Ale sprowadzona do filologii, archeologii, historii, wydała uczonych bardzo mało obiektywnych wobec tego, co nie jest niemieckie, jak Sybel, Treitschke, Winkelman, Lessing, Schlegel, Grimm i inni. Ze Niemcy są ciągle i będą nadal niezadowoleni politycznie, dowodzi tego ich taktyka w sprawie kolonii. Przede wszystkim szczytem ich zręczności dyplomatycznej jest to, że nas jakby ubocznie, a zarazem wspaniałomyślnie wciągnęli do ich sprawy. Albowiem na forum międzynarodowym zapewnili sobie tym moralne nasze poparcie. Czyżby jedynie w celu zabrania nam otrzymanych kolonii przy pierwszej lepszej sposobności konfliktu europejskiego, co by podwoiło ich zysk przedstawiający się narazie w rozmiarach skromnej realizacji? Dla nas wszakże kolonie, to nie wszystko. Aby je utrzymać w silnym połączeniu z macierzą, trzeba w pierwszym rzędzie posiadać wielką marynarkę i to nie handlową, ale właśnie wojenną, bardziej kosztowną. Tak bogaty w zasoby mineralne i tak swobodnie położony nad Oceanem kraj, jak Hiszpania, stracił swe kolonie w wojnie z Ameryką, dlatego, że nie posiadał floty wojennej, bo nie miał pieniędzy na ten cel. Ale dla Niemców kolonie również nie są wszystkim. W 1914 już przy tej samej ilości mieszkańców, co dziś, Niemcy się dusiły, a posiadały wtedy kolonie i główniejsze rynki zagraniczne niemal pół na pół z Anglią dzieliły. W jaki więc zadawalający sposób może być rozwiązane zagadnienie ekspansji niemieckiej przy mniejszym obszarze pomorskim? Czyli że pretensje niemieckie ani w 1914 roku, ani teraz nie odpowiadają jakiejś bliżej określonej rzeczywistości, a w Europie powodują same polityczne zawikłania, które mogą jedynie Niemcom wyjść na korzyść. Albowiem trudno przypuścić, że dostaną spowrotem wszystko co stracili w 1918 roku. Znaczyłoby między innymi to, że zwyciężony ostatecznie bez straty przegrał wojnę. Jaka to zachęta do ponownego i rychłego ryzyka. Ryzyko takie istnieje także w wypadku zwrotu części kolonii, bo to będzie za mało dla wiecznie niezadowolonego Niemca. Zatem nie widać rozwiązania zagadnień, jakie stawia Europie istnienie jedności niemieckiej. Gdyby istotnie ekonomia była, nawiasem mówiąc, rozwiązaniem tych kwestii, Bismarck nie byłby dążył do zjednoczenia Niemiec, czyli do dzieła politycznego. A było takie rozwiązanie zaraz po ukończeniu wojny. Nazywało się rozbiciem jedności niemieckiej, czyli odwróceniem polityki Bismarcka.

Ale takiej polityce była żarliwie przeciwna masoneria, która już za czasów angielskiego premiera Palmerstona (masona), jak tego dowodzą

jego artykuły polityczne z 1849 roku pragnęła zburzenia katolickiego państwa Habsburgów, celem ostatecznego włączenia do protestanckich Niemiec; czyli Prus, wiernej kościołowi romanizowanej Austrii. Realizacja planu rozbicia już może nigdy nie nastąpi w zupełności, ale nastąpi koniec nowej hegemonii Niemców w Europie po przyszłej przegranej, jaką sobie sami szykują przy pomocy Italii, która jako mistrzyni w sztuce dyplomatycznej w odpowiedniej chwili wywiedzie ich w pole, podobnie, jak to uczyniła w 1915 roku.

Po przeczytaniu ostatnich dwóch zdań, niektórzy uśmiechną się pobłażliwie, że komuś takie myśli do głowy przychodzą. Jednak myśli tych wcale nie cechuje niemożliwość, bo można stawić sobie takie wcale nie absurdalne pytanie, w czym brak jedności politycznej, któryby zapewnił pokój Europie, zmniejszył by znaczenie oraz promieniowanie intelektualne Niemców?

Leibnitz, Bach, Kant, Goethe, Beethoven, Wagner, że tylko szczyty wymienię, nie uchodzili by za większych, niż są, gdyby ich życie było płynęło w państwie zjednoczonym, pochodzili przecież, z wyjątkiem Kanta, nie z Prus, lecz z południowej części państwa Niemieckiego, tzn. gdzie nie było jedności narodowej. Natomiast Mickiewicz, Słowacki, Chopin, Krasiński, Norwid i inni, przechodząc inne koleje życiowe, byli by tworzyli w spokojniejszych warunkach, wydając ze siebie wszystkie możliwości twórcze, a z drugiej strony tacy ludzie jak pani Curie, Conrad, Apollinaire, Babiński (*Flambeau de la Faculté*, jak o nim się wyraził Daudet) żyjąc w Polsce wolnej, jej byliby oddali owoce i korzyści własnej działalności, czym się wpierw wzbogaciły Francja i Anglia. Nie należy bowiem zapomnieć, że chociaż Niemcy byli państwem rozbitym, byli zawsze wolni. I tu nasuwa się mimo woli bardzo ważne spostrzeżenie odnośne naszego zachodniego sąsiada. Każdy rozbity naród stanowił zawsze i stanowić będzie pokusę dla tzw. ekspansji germańskiej. Tego absolutnie nie można powiedzieć o nas Polakach ani o Francuzach, czyli innymi słowy, że Niemcy są niebezpieczni dla nas i dla innych, a nie na odwrót. Istotnie historia dowodzi, że państwu niemieckiemu nikt nie chciał odbierać jakiejkolwiek bądź połaci kraju dlatego, że było ono państwem rozbitym i to nawet podczas wojny 30-toletniej, czyli w czasie największego nasilenia politycznej anarchii niemieckiej. Tego argumentu między innymi natomiast użył właśnie Fryderyk II przeciwko Polsce i dziwnym trafem tego samego argumentu używa obecnie Hitler w podjęciu akcji przeciw Moskwie i jej sojusznikom, wzgl. popierającym jej ideologię, czyli Francji w pierwszym rzędzie.

A jakby się przedstawiało z punktu widzenia ekonomicznego rozbicie jedności politycznej Niemiec? Czyżby miało pogorszyć położenie Europy, utrudnić Niemcom życie codzienne? Czy dzięki jedności politycznej maszynizm nie rozwinął się kosztem rzemieślnictwa, co spowodowało tę niesłychaną ilość bezrobotnych przy równoczesnym zwiększeniu produkcji? Jeśli w Anglii i Francji XVIII wieku, politycznie zjednoczonych, niekiedy w obrębie jednej prowincji zachodzące w miarach i pieniądzach różnice nie uniemożliwiały rozwoju handlu wewnętrznego ani zagranicznego, to czemuż Niemcy podzielone na dawne państwa i miasta miałyby dziś ucierpieć przy tak ulepszonej organizacji pracy, jaką zna XX wiek? Jeśli w Ameryce Roosevelta istnieje oddzielność ekonomiczna między stanami, to czemuż system taki nie dałby się na nowo zrealizować i utrzymać w Niemczech, gdzie panował długie wieki?

Znajdą się tacy, którzy po przeczytaniu powyższych wywodów oburzą się i lekkomyśnie powiedzą, że artykuł ten sieje poprostu nienawiść. Należy im tylko przypomnieć, że od chwili podpisania traktatu wersalskiego Niemcy marzą o powrocie naszych ziem w obręb ich państwa. „*Mein Kampf*“ między innymi dowodzi tego najjaskrawiej, a zachowanie się Niemców w Polsce podkreśla to dobitnie. Zatem dlaczego my Polacy nie możemy marzyć o pokoju w Europie osiągniętym rozbiciem politycznej jedności Niemiec? Powtóre uczucie nienawiści jest nam zupełnie obce. O nikim nie pisaliśmy z nienawiścią i to nawet podczas, czy po rozbiorach. W płomiennym zaś stylu nienawiść do innych narodów europejskich ukazała się w literaturze niemieckiej z Herderem i Fichtem. Warto podkreślić te różnice moralne, kiedy jako przeciwieństwo do haseł bolszewickich podstawy moralne ideologii hitlerowskiej zdobywają sobie w świecie szczególne uznanie.

CZESŁAW TACZANOWSKI

Poznań.

PRZEROSTY W ADMINISTRACJI SZKOLNEJ

PRZEDŁOŻONE w grudniu ub. roku Sejmowi i Senatowi zamknięcie rachunkowe rządu za r. 1935 i Uwagi Izby Kontroli Państwa do tych zamknięć raz jeszcze potwierdziły niezmienioną od szeregu lat, a bardzo dziwną politykę Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na odcinku szkolnictwa średniego ogólno-kształcącego.

Art. 119 konstytucji marcowej nakazywał: „nauka w szkołach państwowych i samorządowych jest bezpłatną". Na straży tego przepisu Konstytucji stanęły Sejm i Senat przy uchwalaniu budżetu na r. 1928/1929 i skreśliły w dochodach skarbu wszystkie opłaty uczniowskie, a Prezydent Rzeczypospolitej podpisem swym usankcjonował to stanowisko w ustawie skarbowej na r. 1928/29.

Mimo jasnego brzmienia starej Konstytucji i bezkompromisowego stanowiska ciał ustawodawczych, opłaty uczniowskie nie tylko się ostały, ale właśnie w r. 1928 podskoczyły o niemal 100%.

W latach 1924 — 1926 istniały w szkołach średnich ogólno-kształcących opłaty pod nazwą „zwrot kosztów za zużycie materiałów i pomocy naukowych" w wysokości 60 zł. od ucznia. Opłaty te dawały skarbowi około $3\frac{1}{2}$ mil. zł. rocznie. Znaczny procent młodzieży otrzymywał ulgi 50%, a pewna ilość pilnej a ubogiej młodzieży wolną była od opłat zupełnie.

Od r. 1926 opłaty rosną z razu do 110 zł., potym do 150 zł., wreszcie w r. 1931 — za min. J. Jędrzejewicza—do 220 zł. W tym czasie dają już one około 20 mil. zł. rocznie. Min. Świętosławski obniża opłaty o 20 zł. do 200 zł. rocznie. Obok tej głównej opłaty, noszącej nazwę „taksy administracyjnej", istnieją jeszcze najrozmaitsze opłaty doraźne i jednorazowe (na wychowanie fizyczne, na wycieczki, na teatry i kina, na komitet rodzicielski, na gminę szkolną, na samopomoc i t. p.), które razem zliczone dają rocznie dalsze 40 — 50 złotych. Od opłaty taksy zasadniczej może być uwolnionych 10% uczniów, od opłat dodatkowych—nikt.

Opłaty uczniowskie to tylko część wydatków dziecka. Dochodzą do tego książki, zeszyty i inne przybory szkolne, dochodzi specjalny mundur. Dla mieszkańców wsi i miasteczek przybywa ciężar utrzymania dziecka w bursach lub na prywatnych „stancjach". Wszystko to razem czyni dla bardzo szerokich rzesz ludności niemożliwym posyłanie dzieci do szkół średnich ogólno-kształcących.

Czy tak być musi?

Państwo Polskie (rząd i samorząd) wydają na szkolnictwo rocznie ponad 400 mil. zł. (w r. 1936/37 według Rocznika Statyst.—417,8 mil. zł.). Według tego samego źródła (M. Rocznik r. 1937, str. 301) skarb państwa wydał na szkoły średnie ogólnokształcące w r. 1936/37 — 21,9 mil. zł., w tym samym roku 75% „taksy administracyjnej", ściągniętej przez dyrekcje szkolne i odprowadzone do specjalnej kasy Ministerstwa W. R. i O. P. dało ponad 15 mil. zł. Rzeczywista dopłata Skarbu Państwa do utrzymania w Polsce szkolnictwa ogólno-kształcącego (gimnazjów i liceów) jest więc wręcz minimalna. Cały ciężar utrzymania szkoły średniej spoczywa na rodzicach.

Ogólny koszt utrzymania wszystkich szkół średnich w kraju wynosi zapewne jakieś 70 — 80 mil. zł.

W r. 1936/37 mieliśmy 760 szkół średnich ogólno-kształcących. Było w tej liczbie: 305 szkół państwowych, 43 samorządowych i 412 prywatnych. Szkoły państwowe pokryły swoje potrzeby w sumie ponad 30 mil. zł. w ten sposób, że rząd dał około 22 mil. zł. (w tym 15 mil. zł. z taksy admin.), a resztę pokryły bezpośrednio dyrekcje szkół. Dysponowały one: 25% dochodami z taksy admin. (zatym około 5 mil. zł.) i całą sumą owych opłat dodatkowych, co dało również jakieś 4—5 mil. zł.

Przyjmując nieco skromniejsze budżety dla szkół samorządowych i prywatnych — otrzymamy dalsze około 40 mil. zł., już w całości pokrywane z opłat uczniowskich.

Poza tymi opłatami na naukę dzieci w szkole średniej rodzice dzieci tych ponoszą—oczywiście—wszystkie inne wydatki, pokryte z utrzymaniem, ubraniem i zaopatrzeniem dzieci w środki pomocnicze naukowe.

Jeszcze jedna uwaga. Dzieci pracowników państwowych płacą w szkole średniej tylko 50% opłat. W roku szkolnym 1935/36 dzieci tej kategorii rodziców było w szkołach średnich aż 35,6%. Na 107,800 dzieci w szkołach średnich państwowych w r. 1936/37 daje to dzieci, korzystających z ulg z racji służby państwowej rodziców, około 37,000. Gdyby i te dzieci płaciły czesne w pełnej wysokości, budżety szkół średnich byłyby niemal w 100 procentach zrównoważone bez pomocy skarbu państwa. Nie należy z tej uwagi wyciągać wniosku, iż i te dzieci winny opłacać pełną taksę. Uwaga ta pozwala nam tylko na stwierdzenie, iż uczniowskie opłaty normalne, wynoszące razem około 250 zł. i płacone przez wszystkie dzieci, nie korzystające z ulg, pokrywają niemal wszystkie normalne potrzeby szkół średnich.

Trzeba tę prawdą wbić w umysły ludzi myślących: państwo dysponuje szkołą średnią, gronem nauczycielskim, programem i kierunkiem nauczania i wychowania bezapelacyjnie, ale opłacają te szkoły—rodzice uczniów.

Polityka rządu na odcinku szkół średnich dała już bezpośrednie wyniki. W r. szk. 1935/36 (jest to ostatnia szczegółowa statystyka) uczęszczało do tych szkół dzieci rodziców: rolników mniejszych 9,6%, rzemieślników 5,1%, wolnych zawodów 4,8%, przemysłowców i kupców 15,7%. W r. 1925/26 procent dzieci małych rolników wynosił 12,1%, rzemieślników 9%, wolnych zawodów 5%, przemysłowców i kupców 21%. Spadek dzieci tych wielkich grup ludności — to skutek i kryzysu i wielkich opłat uczniowskich.

Wielu z nas zrozumiałoby stosowanie opłat w dwu wypadkach: 1) jako chęć doboru elity poprzez eliminację elementów pochodzących ze sfer, dotąd wyższej kulturze obcych, 2) jako ratunek dla skarbu państwa.

Opłaty uczniowskie w szkołach średnich nie mają żadnego z tych celów na oku. Są one stworzone i pobierane niemal wyłącznie dla wygody administracji szkolnej.

Stawiam ciężki zarzut Ministerstwu Oświaty, jako odpowiedzialnemu za całą administrację szkolną—nie gołosłownie.

Od r. 1928 opłaty uczniowskie nie wpływają na dochód skarbu Państwa. Ministerstwo Oświaty, które wbrew konstytucji i wbrew Sejmowi i Senatowi, opłaty uczniowskie utrzymało i rozbudowało, stworzyło z nich, osobny dla siebie fundusz dyspozycyjny pod nazwą „taksa administracyjna". Czy Ministerstwo Oświaty było pod presją Ministerstwa Skarbu? Nie! Lata 1928—1930 dały ówczesnemu ministrowi skarbu olbrzymie nadwyżki budżetowe. Nigdy przed tym i nigdy po tym nie miał skarb polski takiej obfitości gotówki, jak w tych latach. I właśnie wtedy Ministerstwo Oświaty podnosi opłaty z 60 zł. na 110 zł. A i później, zaledwie się kryzys zaczął, skacze taksa na 150 zł., niedługo potym nawet na 220 zł.

„Taksa" miała zrazu cele bardzo skromne: miała pokryć tylko wydatki rzeczowo-administracyjne szkół średnich. Wydatki te razem wzięte wynosiły w latach dawniejszych około 4 mil. zł., a i dziś nie przekraczają 10 mil. zł. Dochody taksy i opłat dodatkowych dają dziś ponad 20 mil. zł. Pokrywają one w całości zwiększone wydatki rzeczowo-administracyjne szkół średnich, a ponadto służą Ministerstwu do łatania wszystkich, dosłownie wszystkich, nietylko potrzeb, ale i fantazyj.

Oto kilka przykładów:

Pp. J. Jędrzejewicz, Kaden-Bandrowski i tow. tworzą spółkę p. t. „Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej" i przejmują w dzierżawę kilka teatrów

stołecznych. Ministerstwo na pomoc dla teatrów i całej sztuki ma osobny dział w budżecie. Fundusze działu „sztuki” są dość szczupłe. Wobec tego Ministerstwo sięga do zasobnej szkatuły „taksy administracyjnej“ i asygnuje T-wu K. K. T. raz 20,000 zł., drugi raz 92,000 zł.

Różne organizacje domagają się od rządu pomocy i zasiłków. Ministerrstwo ma w budżecie dwie rubryki: na cele ogólne i na oświatę poza szkolną. Ale towarzystw usanowanych i głodnych jest wiele. Dwie rubryki budżetowe nie wystarczą—więc znowu spieszy im z pomocą „taksa admin.” i płaci zasiłki: Związkowi Strzeleckiemu, związkowi Osadników, Związkowi Nauczycielstwa Polskiego, Tygodnikowi „Dekada”, Straży Przedniej, Komitetowi przedszkola im. M. Mościckiej i dziesiątkom innych, a podobnie jak i powyższe niczym ze szkołą średnią nie związanych, towarzystw.

Ministerstwo skreśla z budżetu dwa miliony zł., wstawione na budowę szkół powszechnych. Ale kraj woła o budynki szkolne. Rząd sam uchwala wybudować sto szkół im. marsz. Piłsudskiego na Wileńszczyźnie. Wobec tego Ministerstwo sięga znowu do „taksy admin.” i asygnuje raz 102 tys. zł., drugi raz 310 tys. zł. na budowę szkół powszechnych.

Kurator szkół na Polesiu, chce mieć samochód, ma pod ręką „taksę“, sięga więc do niej i samochód kupuje.

Ministerstwo Oświaty chce dokształcenia inspektorów i nauczycieli szkół powszechnych, pieniądze na ten cel znajduje w „taksie“.

Ministerstwo mianuje paruset instruktorów oświaty poza szkolnej i poleca im rozciągnąć kontrolę nad istniejącymi organizacjami oświatowymi, urządzać zjazdy i kursy, zakładać biblioteki, rozdawać skioptikony i aparaty radiowe, słowem nadać kierunek całej oświacie poza szkolnej. Przedsięwzięcie to kosztuje dużo, bardzo dużo. Rachunki płaci znowu „taksa administracyjna“.

Rząd daje prezent Rusinom—zakłada dla nich pierwsze w kraju Liceum rolnicze z ruskim językiem wykładowym.

Na kupno folwarku w Czernicy potrzeba 340 tys. zł. Pokrywa je „taksa admin.“.

Ministerstwo Oświaty buduje gmach dla siebie — na ten cel pożycza z „taksy“ ponad 400 tys. zł.

Kiedyś Ministerstwo potrzebowało kikuset tysięcy zł. w gotówce. Wypłaciła je „taksa“ w wyjątkowo dowcipnej formie: szkoły zawodowe mają fundusze obrotowe i mieć je oczywiście muszą. Ale czy szkoły te fundusze obrotowe otrzymają od rządu czy od „taksy“, to dla szkół wszystko jedno, ale dla rządu nie. Więc podjęto potrzebne sumy z taksy i wręczono Ministerstwu, a w księgach zapisano, iż szkoły winne są nie Ministerstwu, ale „taksie“.

„Taksa pokrywa dziś mnóstwo różnych pozycji w Centrali Ministerstwa, w kuratoriach, w inspektoratach. „Taksa“ jest ratunkiem na wszystkie potrzeby. I nie tylko na istotne potrzeby.

Gospodarka „taksą administracyjną“ kompromituje naszą administrację szkolną, psuje normalną gospodarkę budżetową państwa, a w wielu wypadkach służy celom, nie mającym żadnego związku już nietylko ze szkolnictwem średnim ogólnokształcącym, a i z jakimkolwiek szkolnictwem.

Dla dobra młodzieży trzeba znieść tak „taksę“, jak i opłaty uczniowskie wogóle.

I to nietylko w szkołach średnich, ale i w szkołach akademickich.

Kraków STANISŁAW RYMAR

POEZJA MŁODEGO PODHALA

POD TYM TYTUŁEM w r. b., nakładem i staraniem Koła Polonistów Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego (skł. gł. u Gebethnera i Wolffa, Kraków), wyszła antologia kilku najnowszych poetów tworzących w gwarze podhalańskiej; nie wszyscy są debiutantami, bo niektórzy z nich występowali już ze swymi zbiorkami, ale wszyscy należą do młodszego pokolenia (najstarszy, Nędza Kubiniec dobiega czterdziestki) i wszyscy wystąpili poetycko dopiero w ostatnich latach. Wszyscy pochodzą albo z ludu albo ze środowiska ludowego, samoukami jest pośród nich czworo, Nędza Kubiniec i Florek Skupień są autentycznymi „portkowymi” góralami, Suski, Zachemski, Mazur — inteligentami, pośród tych siedmiorga są dwie poetki: Aniela Stapińska i Hanka Nowobielska. Utworów zebrano 40.

Wydawcy, w przedmowie napisanej z entuzjazmem, wychodzą z założenia „jedności kultury narodowej”, której „rozbrat na inteligencką i ludową grozi samobójstwem narodu” i powołują się na zdanie Z. Wasilewskiego, że kultury inteligencka i ludowa różnią się „tylko nakładem celowości, stopniem uczoności, w dobieraniu środków i stopniem intensywności“—tej samej myśli o jedności kultury narodu broni się w całym cyklu niniejszych rozważań na temat uprawnienia gwary. Natomiast nie podzielam zdania, że „m a s i ę z p o e z j i l u d o w e j w y k r z e s a ć n a r o d o w ą“; poezja ludowa jest c z ę ś c i ą narodowej, i wiadomo, że poezja inteligencka sięgając po tematykę, tworzywo artystyczne, język, motywy, do źródeł ludowych—osiągała zdobycze wspaniałe i najwyższe—pocóż o tem u nas w Polsce zapewniać? Ale byłby to jakiś defetyzm inteligencki, autodeklasacja duchowa, gdyby kultura inteligencka, a z nią literatura warstwy wykształconej wyrzekały się swej świadomości przodowniczej, wynikającej z wysokiego oszacowania intelektu i komplikacji duchowej: to są czynniki cywilizacji i wogóle człowieczeństwa niezastąpione przez te walory, które znajdujemy w życiu ludowym — szczególnie wyraziście.

Literacko to się tak przedstawia, że twórca inteligent, który się „skąpał w zdroju“ ludowości, znajduje tam monumentalną prostotę żywiołowych i klasycznych czyli raczej biologicznych namiętności—ale ani lud jako taki, ani życie wiejskie wogóle, ani motywy z pieśni ludowej, nie dadzą mu tego, co jest w literaturze narodów wysokokulturalnych najcenniejszem: zrozumienia wielkiego trudu cywilizowanego i wogóle ludzkiego bycia i inicjacji w trudniejsze, bardziej „ezoteryczne”, rodzaje piękna. To zastrzeżenie uważam za ko-

nieczne wobec hasła, że przez literaturę ludową i wogóle kulturę ludową ma nastąpić „odrodzenie” i „uzdrowienie” literatury i kultury klas wykształconych.

Ale z drugiej strony cóż dostrzegamy w literaturze ludowej? Nie co innego, lecz to że pisarze ludowi właśnie się zwracają ku literaturze inteligenckiej, iż z niej czerpią wzory, z niej czerpią swoje postawy, jednym słowem „ludzie prości”, i to ci najinteligentniejsi, komplikują się tak, iż literatura ludowa odchodzi od prostoty pieśni ludowej, jak to zauważa w pięknem swem do antologii podhalańskiej słowie wstępnym, prof. Pigoń: „Faktem jest, że gromada młodych entuzjastów podhalańskich porwała się, by na tych gęślikach ojcowych wygrać symfonie co najkunsztowniejsze, by mową swej ziemi wyrazić w potędze poetyckiej wzruszenia serc co najsubtelniejsze, najbogatsze, najbardziej osobiste. Cóż to jest, jak nie inteligencka „komplikacja?” I tu powstaje właśnie trudna problematyka stylu, o której była mowa w poprzednich wywodach [1]). Poezja gwarowa ma być miejscem schronu dla prostoty dawnego życia ludowego, którego mową była gwara — i stąd jej istotną cechą musi być pewien ludowy klasycyzm, pewna kanoniczność w tym duchu; ale ludzie od tej prostoty odchodzą, i oto nowe chwyty stylistyczne wprowadzają nowe elementy słownikarskie, nową metrykę daleko odbiegłą od prymitywnej metryki ludowej piosenki. Trzeba wyszukiwać gustownej, a bardzo cienkiej linii działu między jeszcze dozwolonem tutaj, a już nie dozwolonem...

Naprzód więc to, co bez wahania trzeba odrzucić jak np. kurtynę cyrnyk chmurzyc, skały tatrzańskik kolosów, lawiny chmurzyc, moich spółceśnych itp.; ale i bodajże: przipionek narty... wprawdzie na nartach jeżdżą górale, ale tu całkiem nieludowy, tylko sportowy obraz, jawi się w wyobraźni czytelnika, który przez gwarę wiersza został już był zaproszony do wejścia w świat chłopski; nie mogę też odczuć jako harmonijnego w wierszu Nowobielskiej „Roraty“, wykrzyku: O zycie zakłamane..., to jest tylko fonetyczny i jakby zdziecinniały przekład dosłowny wyrażenia nawskroś inteligenckiego i już banalnego, co jest dość przykre i wiersz został popsuty; tak jest, to gruby dysonans, kiedy Skupień w wierszu dość prymitywnym ale sugestywnym o „muzyce góralskiej”, nistąd nizowąd wyjedzie ze zdaniem: Hej! ba się radowały ludzi całe masy, o bo grała nicem kapela jancarsko! Darować mu możemy tę „janczarską kapelę”, ale nigdy „całych mas” ludzi; wprawdzie Skupień, który pisuje artykuliki do pism, tego wyrażenia używa w codziennej swej mowie, ale mowa poezji nie ma być codzienną, poezja, a w szczególności gwarowa ma zostać kapliczką, w której się celebruje rdzenną i nieskażoną polszczyznę (z cudzoziemszczyzny wolno zachować tylko stare nabytki, już obrosłe fonetycznie przez gwarę).

Subtelniejszą kwestią są nie wiem sam, czy błędy do uniknięcia, czy niekanoniczności z punktu widzenia stylu ludowego, które jednak w tym życiu na pograniczu między życiem ludowo-gwarowem i inteligenckiej literatury i kultury są niedouniknięcia i dlatego powinny ulec estetycznej akceptacji, przez wczucie się sympatyczne w ten rodzaj życia—jak np. u Nowosielskiej:

> Zebyś ty mie
> choć roz w zyciu do siebie ciepło przigarnął
> z całego serca upieścił
> i rzekł:
> Nie płac Hanuś, minęło syćko złe...
> Zebyś ty mie
> odcuł swoją,
> w kozdej dusy cąstecce...
> Wte —
> Nie mów nic...
> Nie fcem...
> Nie trza słów...
> Ino mie ukołys w ramionak...
> Ino zcałuj łzy z moik lic...

To ładne jest, i jeżeli dziewczyna wiejska tak sobie delikatnie wyobraża pieszczotę miłosną — (inaczej, niż ta biedna Hanusia z Tetmajerowego „Listu”, co całkiem poprostu płacze, „kie wspomni jakeś ty spał ze mną”)—to trzeba się wczuć w ten jej rwany i jakże obcy metryce ludowej piosenki szept melancholijny, i to jedynie będzie wymierzeniem estetycznej sprawiedliwości temu utworowi; ale jednak to „ciepło przygarnął” a zwłaszcza „odczucie jej w każdej cząsteczce duszy” przy czytaniu wiersza gwarowego odczułem jako subtelny wprawdzie, ale w każdym razie jakiś dysonans [2]).

Są całe utwory ładne i melodyjne o niesfałszowanym liryźmie, które nasuwają powątpiewanie o „konieczności wewnętrznej użycia“ w nich gwary, np. „Majową nocą“ Nowobielskiej:

> A mnie się przecie zdaje
> ze w taką noc bez księzyca,
> kiedy dziewki zakońcą śpiewy przi kaplicak
> a w izbak
> ostatnie pogasną kaganki
> i sen się przicai na przizbak
> ze w taką noc—samiutkim rzeki krajem—
> idzie Pani o jasnyk licak...

Albo u Stapińskiej melodyjny wiersz o wpływach wyraźnie literackich:

> W przidroznym starym kościele dzwony
> niek sie ozdwoniom, niek sie ozgłosom!
> W słonecnyj fali
> Za kwile nowe przycichnom tony.
> W przidroznym starym kościele dzwony
> Niek sie ozdwoniom!
>
> Na smentarzisku biołe narcyze
> Niek sie ozsmucom, niek sie ozpłacom
> W promieniak słońca
> Stare, spróchniałe chylom się krzize,
> Na smentarzisku biołe narcyze
> Niek się ozsmucom!

Ten drugi wiersz, z którego tylko dwie zwrotki przytaczam, ma subtelną myśl poetycką, którą eksplikuję tak, że słońce wywabia na jaw

---

[1]) Por. „O uprawnieniu gwary“ w nr 45, „Czy pielęgnować gwarę?“ (nr 46), „O Styl i Kanon (nr 2 r. b.)

[2]) Tym bardziej dysonansem jest zachęta kochanki góralskiej pod adresem chłopca, aby ją wziął w swe dłonie „mocarne“, choćby dlatego, że „mocarny“ przez Sienkiewicza pierwszy raz użyte, jako derywatyw „mocy“ i przez niego w Zakopanem podsłyszane, tam na miejscu, pochodzi nie od mocy tylko od moczaru... (na co uwagę zwrócił J. Zborowski).

utajony sens istot, ich głos wewnętrzny, ich nietylko wesołość, ale i smutek itp. Oba te wiersze są jawnie nieludowe, „niekanoniczne"; już na pierwszy rzut oka widać, iż od poezji inteligenckiej różnią się tylko i wyłącznie fonetyką, wystarczy odrzucić mazurzenie i inne nieważne różnice np. ozdzwonią zam. rozdzwonią, a będziemy mieli wiersze w literackiej polszczyźnie, i co najważniejsze nic one na niej nie stracą; Budzyk, któregośmy poprzednio cytowali, powiedziałby, że to się panny miejskie przebrały w kierpce i w chustki na głowę i udają góralki... Ale faktem jest, że to są góralki, które nie udają swej wymowy, natomiast już tak czują, że takiej rytmiki, takich słów, takiego stylu im trzeba... W to należy wczuć się i na to się zgodzić... Mogłyby coprawda łatwo odrzucić swą fonetykę — i wiersze zostałyby wierszami niegorszymi niż są; ale tu wchodzą w grę te motywy ideowo-emocjonalne, o których była mowa w artykule p. t. „Czy pielęgnować gwarę?" i następnym. Poprostu mają tę ambicję, że ich język rodzimy jest jednym z nurtów języka narodowego, którym można również i subtelniejsze nastroje wyrazić. Jakkolwiekbądź, za najwłaściwszą i najlegalniejszą tematykę i postawę gwarowego materiału językowego należy uznać tematykę i postawy, „nutę" ściśle ludową. U naszych poetek znajdujemy i całe wiersze i ich fragmenty, w których „nuta ludowa" choć transponowana na tonację bardziej literacką — została dobrze utrzymana, np. u Nowobielskiej zakończenie „Listu":

Ino mi na papier z pół kopy
upadło łez dazyk jak jałowiec...
ozmazały się syćkie haniok
i nie wiem cy sie zdadzo do cytanio —
i cy Ty ik zrozumies?...—odpowiedz!

Albo u tej samej, ile wdzięku w wierszu „Lalki" i innych, wdzięku, który jest wdziękiem szczerej prostoty, ale prostoty, która już cokolwiek wie o sobie — i jest już w niej ta dyskretna kokieteria, która się nie narzuca... Ażeby taką ludową i gwarową poezję dobrze odczuć, trzeba ją brać „w terenie", trzeba znać jakieś miłe dziewczęta, które już są świadome swego poniekąd egzotycznego uroku „dziewcząt z ludu", ale mają jeszcze wiele prostoty oraz tę godność, która je chroni instynktownie przed złym tonem. Estetyczny, i nie tylko estetyczny bo i etyczny i kulturny, walor poezji ludowej, i wogóle kultury ludowej, jest kwestią smaku, dyskrecji, pewnej dystynkcji, która na tym pograniczu ludowości i świata inteligenckiego, uniknie półinteligenckiego snobizmu. U Stapińskiej znajduję bardzo dobry wiersz „Cerwone korole", w którym poetka, nie bez pewnego wykwintu dyskretnego, obrabia odwieczny temat ludowej piosenki, zgubę korali przez dziewczynę, stary wstydliwy symbol utraconego dziewictwa...

Z mężczyzn, Zachemski we „Wieśnie" dobrze trzyma się ludowego tonu, co należy stwierdzić także o niektórych, choć nie wszystkich niestety, wierszach Mazura. Suskiego, żeby sprawiedliwie ocenić, trzebaby ze słychu znać jego utwory w dobrej jakiejś interpretacji recytatorskiej; w czytaniu są to utwory wybitnie literackie, w gwarze podhalańskiej, o tematyce i postawie prometejskiej, wiersz wolny, przeważnie zdaje mi się, o „formie wewnętrznej" muzycznej, przyczem byłaby to muzyka nie dólska, melodyjna i zawodząca, lecz górska, dysonansowa. Za dużo tam, jak na mój gust, retoryki; zasadnicze zagadnienie poezji tego typu, gdy się bierze do gwary jako swego języka, występuje przy Suskim w całej pełni; myślę, że temu utalentowanemu poecie dobrze zrobi większa konkretyzacja wyobraźni, większe uproszczenie stylu, zwrot ku większej „kanoniczności" i prostoty ludowych motywów.

Najsilniejszą i całkiem swoistą indywidualnością poetycką jest w mem przekonaniu Stanisław Nędza Kubiniec, który już ogłosił w r. b. tomik „Na nową perć" — i który, zacząwszy pisać gdzieś około czterdziestki, idzie naprzód wielkimi krokami, i daje dobre, niekiedy wprost piekne przykłady nowej gwarowej poezji ludowej. To są utwory, których rzeczywiście nie możnaby bez straty starcia z nich poetyckiego uroku transponować na polszczyznę literacką (co już Budzyk zauważył o utworze „Taniec zbójnicki), — gwara występuje w nich z immamentną koniecznością; Kubiniec nie trzyma się metryki ludowej, i on używa wiersza wolnego, i wogóle odstąpił daleko od pierwotnej prostoty stylu i tematów; jest wielbicielem i ideologiem wolnej góralszczyzny, a w postawie swej, w swym temperamencie męskim i zuchwałym, znajduje wspaniałą zaiste rytmikę dla swych utworów, o których śmiało powiedzieć można, że wytrysły z głębokich złoży rasowych tego ludu podgórskiego.

Wbrew twierdzeniom jednego z krytyków, który stojąc na stanowisku kanonu ludowości zbyt nieprzejednanego, uznał, że temu zbiorkowi żadnej, prócz negatywnej wartości przyznać nie można i że niezarysowane indywidualności w nim się pokazały czytelnikom — jestem przekonany, że przynajmniej z jedną, autentycznie ludową, wybitną indywidualnością poetycką, mamy tu do czynienia, że kobiety ukazały się z ujmującą i niepodrabianą kobiecością, że inni wystąpili z eksperymentami poetyckimi albo bezwarunkowo udanymi, albo przynajmniej odsłaniającymi problematykę literacką godną uwagi. Jeżeli, jakem już podniósł, jest to przesadą młodzieńczego patosu spodziewać się, że drogą takich eksperymentów z „ludowej poezji wykrzesze się narodową" — bo ostatecznie ani z poezją polską wogóle, ani z jej narodowością nie jest znowu tak źle—to jednak należy tę antologię podhalańską uznać za książkę naprawdę pożądaną, w której błyska jeden z bocznych, ale w górę ambitnie wzbijających się nurtów naszej poezji.

Zakopane KAROL LUDWIK KONIŃSKI

[8]) H. Michalski. „Złudy powrotu", Pisma 22/37.

NA WIDOWNI

Polscy pisarze ludowi.—Nowa karta dziejów literatury polskiej. — Kto to jest pisarz ludowy? — Co oznacza w dziejach jego pojawienie się, — Zbieranie się narodu geograficzne i socjologiczne.—Świeżość wyrazu dawnej kultury. — Mały kalendarzyk dobywania się ludu na poziom dziejów.—Od pierwszego elementarza do Kasprowicza.—Hymn mocy i pionierstwa.

PROSZĘ przyjrzeć się dobrze tej oto pozycji bibliograficznej:

Karol Ludwik Koniński. Pisarze ludowi. Wybór pism. Studium o literaturze ludowej. Z przedmową prof. dr. Franciszka Bujaka. 2 tomy. Lwów 1938. Biblioteka dziejów i kultury wsi t. 4 i 5-y. Razem stron 824. Cena tomu 3 zł.

W kalendarzykach historycznych czasów przyszłych będzie pod tym rokiem 1938 wymienione to zdarzenie, jako że ukazała się w tym roku pierwsza antologia pisarzy polskich stanu włościańskiego i pierwsze studium o tych pisarzach. Oznaczony będzie w ten sposób etap w rozwoju samowiedzy narodu. Nie jest to już dawny stan przed stu, nawet 50 laty, kiedy wypowiadała się w literaturze tylko pewna górna warstwa. Spostrzegliśmy, że krążenie myśli polskiej jest głębsze społecznie, a więc że naród się przez pogłębienie społeczne powiększył.

Zjawiskiem, jak widzimy, zainteresowana jest nauka. Przedstawiciel jednej z najpiękniejszych katedr w Polsce, prof. Fr. Bujak, historyk kultury gospodarczej Polski, przygotował grunt do pracy na tym polu. Wziął się do niej wytrawny socjolog i literat K. L. Koniński. Nazwisko to gwarantuje, że do poznania tego bardzo ciekawego zjawiska kultury otwartą mamy dobrą drogę.

O kim mowa: co to są pisarze ludowi? Odsunąć należy wszystko to, co się nam w myśli kojarzy z pojęciem folkloru. Jest tu mowa o „pisarzach" indywidualnie określonych podczas gdy folklor jest bezosobowy. A Reymont, Orkan itp. czy też są pisarzami ludowymi? Nie. Koniński określa pisarza ludowego jako tego, który pozostał w sferze ludowej, przy roli, czy w warsztacie w odróżnieniu od pisarzy pochodzenia wprawdzie ludowego, ale wchłoniętych w świat inteligencji.

Literatura ludowa w tym znaczeniu jest twórczością ludzi, którzy ze sztuki pisania nie uczynili dla siebie fachu i przez to zatrzymali się u progu świata inteligenckiego gospodarującego w kulturze.

Jest to podział raczej umowny niż naturalny, ale chyba jedynie możliwy, jeśli chodzi o wydzielenie wsi z całości narodowej, jako czegoś odrębnego i samostarczalnego. Niepodobna granicy tej ustalić według kryterium wykształcenia umysłowego. Znamy bowiem pisarzy fachowych nie mających szkolnego cenzusu i nieraz mniej inteligentnych niż ci w antologii pisarze wsiowi. Zaliczony do tej kategorii jest np. W. Witos jako mówca i publicysta. Życzylibyśmy politykom z wielkiego świata tej miary umysłu, jaką on posiada.

Oczywiście ogół zajęty pracą fizyczną nie osiąga szczytów kultury literackiej, jest surowy pod tym względem, że nie stać go na rafinowanie produktu za pomocą odpowiednio ukształconego aparatu świadomości artystycznej. Musi tu zachodzić—gdyby użyć porównania z wyrobem cukru—stosunek melasy do rafinady zwartej i skrzącej się kryształkami. W gruncie rzeczy jednak i tu i tam jest ten sam dar Boży, ten sam dar rasy, ten sam dar dziejów kultury.

— — — — — — — — — — — —

Praca Konińskiego jest przyczynkiem do dziejów wsi polskiej, nad którymi pracuje instytut prof. Bujaka. W innych tomach biblioteki, którą prof. Bujak wydaje, znajdujemy znakomity pamiętnik chłopa Magrysia, opracowania monograficzne: Janika dziejów włościańskiego ruchu ideowego, Kostołowskiego „Udział włościan w walkach zbrojnych o niepodległość", studia o działalności W. Witosa i ks. Stojałowskiego i in. Aczkolwiek sam Bujak i współpracownicy polityczni należą do „ludowców", to jednak wszystkim tym pracom prof. Bujak nadaje kierunek narodowy, uznający lud za podstawowy czynnik organizmu narodu, jako istności dziejotwórczej. Najlepszym dowodem tego zrównania (bez dialektyki socjalnej) ludu z narodem jest historia literatury ludowej, opracowana przez Konińskiego. Bo jeśli uznajemy to równanie: lud = naród, a dalej równanie Mochnackiego: duch narodu = literatura, jako „sumienie" narodu, to ten piękny obraz dopływu twórczości ludowej do literatury ogólnej uprzytomni nam wyraziście, jak odbywa się misterium jedności duchowej narodu. Gdzież szukać lepszego wziernika w duszę narodu, jeśli nie w literaturze, w której się ujawnia czarno na białem proces uświadomień narodowych w swoim rozwoju historycznym? Życie narodu historycznego to ciągła konsolidacja jego osobowości, a ta osobowość znajduje swój wyraz w literaturze. Piśmiennicze pomniki narodu trzeba uważać za jeden wielki protokół tego procesu zbierania się narodu w osobowość.

Jakież z tego stanowiska jest znaczenie takiego zjawiska, jak omawiana literatura ludowa? Jednostronne jest nasze wyobrażenie o dziejach, jako procesie geograficzno-etnicznym zbierania się ziem. Naród przez dojrzewanie dziejowe zbiera się nie tylko na przestrzeni ziem swoich, ale i w strukturze swojej socjalnej. Proces ten znaczony jest w literaturze narodu śladami jego przestrzenności we właściwościach regjonalnych i śladami głębokości w jego znamionach stanowych. Nie trudno dostrzec łączność tych zjawisk: osobliwości regionalne z natury rzeczy są zwykle osobliwościami ludowymi. Mapka geograficzna tej literatury daje przytem wskazówkę, że nie bez znaczenia jest dawność miejscowej kultury dla ruchu umysłowego wśród ludu, który pozornie w jednakich pozostawał wszędzie warunkach. Antologia Konińskiego ujawnia, że najwięcej talentów samorodnych rodzi się nad Wisłą między Krakowem i Sandomierzem. Kto wie, czy nie trafne byłoby przypuszczenie, że ta rodzajność odpowiada dawności osiedli nad brzegami wielkich wód, gdzie z prawieka ludność stykała się ze światem jak to szlaków handlowych było udziałem. Świadczyłby o tem Kasprowicz z nad Gopła, wyrastający z bardzo głębokich pokładów kultury ludowej.

— — — — — — — — — — — —

W każdym razie to pewna, iż wydobywanie się duszy twórczej z głębin bytu bezdziejowego, pozbawionego kontaktów z szerszym światem i nie uprawianego w drodze oświaty, mogło być dawniej tylko dziełem przypadku, gdy znalazła się wyjątkowo jakaś dźwignia. Do niedawna przecież lud wiejski był mitem w świecie kultury. Powoli od

końca XVIII w. stawał się przedmiotem zainteresowań, ale jakże stąd daleko do stanowiska podmiotu twórczego, jakim jest dzisiaj chłop piszący i drukujący swe utwory. Przypatrzcie się państwo dla orientacji poniższym datom.

Przed 170 laty w r. 1765 powstała Komisja Edukacyjna, a wtedy zaczęto myśleć o edukacji także i dla ludu. W r. 1774 pijar ks. Popławski dał „przepis dla szkół parafialnych".

W r. 1779 wystawiono w Teatrze Narodowym pierwszą sztukę z tematem ludowym, operetkę „Zośkę" Kamieńskiego, a w r. 1785 w Nieświeżu przy królu „Agatkę" ks. M. Radziwiłła.

W r. 1785 ukazał się pierwszy elementarz dla szkół parafialnych.

W r. 1794 Racławice i Manifest Połaniecki Kościuszki.

W r. 1808 warszawska Izba Edukacyjna otworzyła 500 szkół ludowych.

W r. 1820 „Wiesław" Brodzińskiego.

Z tego trzeba sobie zdawać sprawę, jak zapóźniony był nasz rozwój wewnętrzny i jak świeżym jesteśmy narodem w znaczeniu nowoczesnym. Przed stu laty postaci z ludu były jeszcze dziwowiskiem, dopuszczanym do obcowania z łaski sentymentu romantycznego.

Decydującym momentem było uwłaszczenie 1864, a w Galicji 1865 r. ustanowienie samorządu powiatowego i gminnego.

Dalsze etapy: 1875 „Wieniec" i „Pszczółka" ks. Stojałowskiego, a w Warszawie 1886 r. „Głos". W literaturze: „Placówka" Prusa 1886, „Beldonek" Dygasińskiego 1888.

Ale już w r. 1889 ukazuje się na widowni wielki poeta z ludu—Kasprowicz, 1893—Reymont.

„Chłopi" 1900, „Wesele" 1901 — to już nie „Agatka", ani „Wiesław", to już wieś uspołeczniona, lud jako czynnik dramatu dziejowego Polski.

Te oto powyższe wydarzenia w tak krótkim przeciągu czasu zmieniły tyle w warunkach życia wiejskiego, że oto teraz Koniński wymienić może 157 nazwisk pisarzy ludowych, będących na wsi w swych dawnych środowiskach jakby konsulami wielkiej kultury narodu. Dużo zrobiła góra w tym względzie, ale oczywiście decydowało w tym zjawisku parcie z dołu, równe tym siłom przyrody, które każą ziarnu kiełkować, a płonkom rozrastać się w wielkie drzewa.

Jak zawzięta jest potrzeba szukania w piśmie ujścia dla myśli, niech zaświadczy pamiętnik Magrysia z pod Łańcuta, który latami czekał na sposobność wywiedzenia się, jak się dochodzi do posiadania pióra i atramentu. Powiedziano mu, że trzeba pióro gęsie zastrugać, atrament zaś wyrobić z galasówek, nie powiedziano mu jednak, że trzeba koniec pióra rozciąć. Rok czasu czekał na przybycie do wsi zakrystiana, który mu tę rzecz wyjaśnił. Ze skrawków gazety kopiował kształt liter i t. d.; a teraz czytamy jego poezje, pamiętnik, artykuły publicystyczne.

Mamy tu miarę, jak wielką dynamiką obdarzona jest żywotność ducha polskiego. O tej sile i wszechstronności talentów świadczą pisma przytoczone w antologii publicystów: Magrysia, Bojki, Witosa, Niećki, Wantuły, Borowego; beletrystów: Brzozy, Pawlaka, Worcella (pseud.); poetów: Raka, Kurasia, Jantka z Bugaja, Sawczuka, Breowicza, Nędzy Kubińca, Dobrzyńskiego i in.; pamiętnikarzy: Słomki, Magrysia, Kurasia, Berkana, Wojciechowskiego, Bonczka, Korala, bezimiennych wreszcie w kraju i na emigracji.

— — — — — — — — — — — —

Trudno mi przytaczać próbki wszystkich autorów. Nie mogę się jednak powstrzymać od pokazania, jak wygląda ekspansywność i pionierskość natury polskiej, wyrażona z całą bezpośredniością przez poetę z ziemi krakowskiej, emigranta pracującego w Paranie — Breowicza. Polak trzebi puszczę w obcej ziemi i tak śpiewa:

Szumią, szumią dziwną nutą z słońca skwaru gdzieś wysnutą — szumią puszcze nierąbane, w takt muzyki swej wsłuchane...

Gra w dolinie pierś potoka, słońce leje żar z wysoka, dzwonią świerszcze, gwiżdżą ptaki, orły płyną swemi szlaki...

Jakaś tęskność, jakiś smutek idą puszczą — nieprzeczute, niepojęte — nieprześnione — idą borem w swoją stronę...

Góry, lasy — przeolbrzymie, staną czasem w białym dymie. To gdzieś człowiek szedł milami i dziewiczą puszczę splamił...

Siadł na chwilę śród skał czarnych i spojrzawszy w dal puszcz gwarnych, rzekł: — przerąbię lasu milę, potem legnę w puszcz mogile...

Grom zamącił borów ciszę, wicher głębią puszcz kołysze — a człek rąbie — człowiek wali — i powoli las się pali ...

Wiem, że spocznę tu na wieki, ale przyjdą z ziem dalekich bracia moi — tu postawią DOM — i naród mój rozsławią...

Łzy i pot mój — i trud trudów włożę w puszczę — dla swych ludów... Lżej im będzie się uporać i zdołają grunt ten zorać...

I chleb będzie — i miód będzie i dobrobyt wstanie wszędzie — słońce będzie IM łaskawsze — i zostaną tu — na zawsze...

Stawią domów moc z pinjoru, frontem tam — gdzie świty gorą, na wschód słońca — ku krainie, co z najzdrowszych synów słynie...

Wstaną sioła, wsi i miasta, polskość będzie się rozrastać... Stalne tory i fabryki zagrzmią tu — gdzie dziś bór dziki...

Nasz znój krwawy — nasz wysiłek w ogród zmieni tę mogiłę — tę parańską dziką ziemię, co od wieków w słońcu drzemie...

Piorun mąci leśną ciszę, wicher morzem drzew kołysze... — Człowiek rąbie, tnie i wali — coraz więcej puszcz się pali...

Walą puszczę przeolbrzymią, góry, lasy płoną, dymią... Słońce leje żar z swych stropów — czy też puszcza zdzierży chłopu? —

Krwią ociekły — zlany znojem, idzie Olbrzym-Chłop przebojem — stanie chwilę — pot ociera — siły zbiera — grzmi siekiera...

To nie dla mnie! To dla dzieci! To dla wnuków — dla stuleci! Ja tu padnę — przyjdą ONI — czy ocenią trud mej dłoni? —

Grom rozdziera borów ciszę, wichr ostatkiem drzew kołysze... Człowiek rąbie — ogień pali — a pług idzie coraz dalej...

Szumcie zboża! Szumcie niwy, tu gdzie dziś jest bór sędziwy! Kędy chodzą wichry, burze, siejcie chleby! Sadźcie róże!

Idźcie myślą w dawne czasy; w Ojców-Słowian bory, lasy... Znój, trud, czyn Ich, niech wam będzie słońcem wszędzie—drogą wszędzie!

Niepodobna bez wzruszenia słuchać tego hymnu duszy polskiej. To nie Breowicza głos, tak śpiewa utajona w narodzie moc życia i ekspansji, tak wypowiada się tryumfalnie kultura polska wszczepiona w krew ludu i z ludu dobywająca siłę twórczą.

Niechaj przytoczona tutaj pieśń pracy i walki, wróżąca narodowi wielkość, starczy za uzasadnienie, jak potrzebna była mozolna i umiejętna praca Konińskiego, zmierzająca ku ujawnieniu bogactw duszy ludu polskiego.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

UCHWAŁY SYNODU JASNOGÓRSKIEGO

Ogłoszenie uchwał odbytego w Częstochowie r. 1936 Pierwszego Polskiego Synodu w dwóch, potwierdzonych przez Stolicę Apostolską tekstach: polskim i łacińskim to fakt niezmiernej wagi i znaczenia zarówno politycznego jak i kulturalnego. Surowo i bezapelacyjnie brzmi uchwała 57, § 3:

Nie godzi się należeć, popierać, ani współpracować z sektami, z masonerią, z socjalistami, ani innymi organizacjami, zarówno jawnymi jak i tajnymi, które są wrogie Kościołowi i porządkowi społecznemu, albo szerzą zobojętnienie religijne. § 4. W szczególniejszy sposób Synod Plenarny wzywa katolików, by się pilnie strzegli Komunizmu, stanowiącego najgroźniejszą zarazę współczesnego świata, i by wszelkimi sposobami zwalczali zarówno jego przebiegłą propagandę, jak i zgubne hasła burzenia religii, szerzenia nienawiści, niszczenia wszelkiego ładu społecznego.

Do powrotu godeł chrześcijańskich na sztandary przyczyni się uchwała 93 § 3 (w rozdziale X—o Sakramentaliach): „Sztandary, nie mające emblematów religijnych, święcić wolno jedynie za zgodą Biskupa". Nadużyciom w dziedzinie bałwochwalstwa pomnikowego zapobiegnie uchwała 100: „Nie wolno poświęcać pomników i tablic nie mających charakteru religijnego".

Jak więc widzimy z paru zaledwie próbek, doniosłość tego historycznego wydarzenia sięgnie nietylko do dziedziny religii, nietylko obfitować będzie w skutki polityczne — ale i stanie się właściwym regulatorem życia narodowej kultury.

WPROWADZENIE „*GHETTA* ŁAWKOWEGO" WE LWOWIE

Dymisja rektora Kulczyńskiego, poprzedzona wprowadzeniem *ghetta* na uniwersytecie J. K., jest jakby i symboliczną, nietylko rzeczywistą, porażką obozu obrońców żydowskiego stanu posiadania na wyższych uczelniach i w całym kraju.

Wyższe uczelnie od początku walki ze stronnictwem narodowem były barometrem, mierzącym stan sił stron obydwu. Nie inaczej jest w obecnym czasie.

A więc komunikat brzmi pomyślnie: wyż barometryczny zalega już prócz centrum także i południowe kresy.

Będzie w Polsce pogoda.

REŻYSERIA KOMINTERNU

Ostre przesilenie gabinetowe we Francji, katastrofalne dla kraju i społeczeństwa, wytrąconego uprzednio z równowagi burzliwą falą strajkową,— oraz fałszywie informowanego w czasie rozdmuchanej sztucznie afery „Kagulardów", — kryzys zaufania, czego najlepszym wskaźnikiem gwałtowny spadek franka — oto symptomy choroby, przeżywanej przez naszą sojuszniczkę, nie znajdującą dość zespolonych sił dla przezwyciężenia chaosu.

Główną rolę w wywołaniu zamętu odegrała legalna partja komunistyczna, której taktyka po wejściu w skład rządu Frontu Popularnego polegała na wysuwaniu coraz dalej idących żądań natury socjalnej i teroryzowaniu umiarkowanych ugrupowań (socjalistów) groźbą rozłamu oraz odcinaniu ich od reszty stronnictw ciągłymi pogróżkami we wspólnych wystąpieniach. Przy sprzyjających okolicznościach, jak w danym wypadku z okazji odmowy *votum* zaufania w sprawie nie wprowadzenia ograniczeń dewizowych, następował atak generalny. W tej sytuacji komuniści objawili na ostatniem posiedzeniu zamiar nie współpracowania z większością, tem samem zmusili socjalistów do ustąpienia z rządu — rząd upadł. Powyższa taktyka została wypróbowana w Rosji przez bolszewików przed październikiem r. 1917, gdy jeszcze zmuszeni byli oni do częściowego maskowania się i przygotowywali właściwą akcję rewolucyjną przez uprzedni kryzys parlamentarny.

Nie widać dotychczas, by smutne doświadczenie rosyjskich „eserów" i mieńszewików nauczyły czegokolwiek socjalistów z pałacu Burbonów. We Francji, jak i w Polsce, potrzeba silnych rządów narodowych, któreby dopiero niepewność, płynącą ze swobodnej gry wrogich ugrupowań zamieniły w całkowitą przewagę interesów ojczyzny i na niej gruntującą się stabilizację polityczną.

NAUKA I LITERATURA

ŻĄDANIE REFORMY STUDIÓW POLONISTYCZNYCH

PRZED niedawnymi czasy ukazał się w „Gazecie Polskiej" list otwarty znanego polonisty, prof. Kołaczkowskiego, wystosowany do p. Ministra Oświaty z żądaniem reformy studiów na polonistyce w naszych uniwersytetach. Chodzi o to, aby przeciążonym obowiązującym programem studentom udostępnić właściwą pracę naukową na poziomie poważnych dociekań badawczych, co ostatecznie jest właściwym celem studiów uniwersyteckich. Trudno zaś wymagać jakiejkolwiek samodzielnej pracy badawczej od studenta, a właściwie kursisty, układającego swój kalendarz od jednego egzaminu magisterskiego do następnego, nie mającego zazwyczaj nawet czasu na bezinteresowną, nie objętą przepisaną bibliografią lekturą.

Prof. Kołaczkowski broni swoich praw wychowawcy przyszłych pracowników na niwie historii literatury polskiej. Wszelkie przedmioty i dyscypliny pomocnicze zajmować winny miejsce hierarchicznie niższe, we właściwy sposób podporządkowane. Tymczasem dzieje się tak, że przyszły historyk literatury przez pierwsze dwa lata nauki karmiony jest niemal wyłącznie gramatyką w najrozmaitszych przebogatych odmianach. Że w późniejszym zawodzie nie wiele mu przyjdzie z gruntownych studiów językoznawczych, o tym żaden z autorów programu nie pomyślał. Co najważniejsze, przez następne dwa lata student nie jest w stanie opanować przepisanego kursu historii literatury, nie mówiąc

już o jakiejś ponadprogramowej lekturze z zakresu estetyki, psychologii twórczości i obcych literatur—albo o nauce języków.

Biedna ofiara systemu, który nawet i na wyższych uczelniach opiera się na „belfrze absolutnym” (patrz „Ferdydurke” W. Gombrowicza i reprezentatywną figurę Pimki), ani się obejrzy, gdy cztery lata zlecą: pracownie zaliczone, egzaminy „odwalone”, rekordowa ilość prac proseminaryjnych i seminaryjnych plus rozprawa magisterska—napisana, i oto polonista a właściwie seminarzysta, wyłącznie kandydat na „belfra absolutnego”, gotów.

Reforma winna zacząć od wprowadzenia już na początku drugiego roku studiów specjalizacji, z podziałem na językoznawców i historyków literatury, poczem fundamentalne źródłowe prace seminaryjne z zakresu językoznawstwa polskiego, obowiązujące do dziś i „literatów”, nie ginęłyby dla nich zupełnie, wzbogacając z konieczności wyłącznie tekę kierownika seminarium.

Ciekawe swoją drogą, czy śmiały głos prof. Kołaczkowskiego nie zostanie przygłuszony, jak to zwykle bywa w takich razach, szelestem biurokratycznej bibuły? Czas już najwyższy, aby ta najważniejsza gałąź naszej humanistyki należyte dostała podparcie na uniwersytetach—tego wymaga żywotny interes polskiej kultury. S. J.

„ZIEMIA W JARZMIE“

OSTATNIA powieść W. Wasilewskiej[1]) zdradza duże już zdenerwowanie i niecierpliwość, pragnącą radykalnie poradzić sobie ze znienawidzonym społeczno-politycznym ustrojem. Wydaje jej się, że podobnie jak zadrę igłą z palca można, ot, starą rezydencję takich np. wyimaginowanych Ostrzeńskich z nadbużańskiego pejzażu wydłubać.

Agitatorski symplicyzm dyktuje p. Wasilewskiej niezmiernie banalną konstrukcję utworu. Oto jak gwóźdź w żyzną okolicę nadbuża wbił się Ostrzeń, klucz ogromny folwarków, gorzelni i cukrowni, farm hodowlanych i rasowych stadnin. Dookoła ludzie głodują, a tyle dobra w jednym ręku nagromadzono. Między pałacem, wystylizowanym celowo w powieści na jakieś feodalne gniazdo, a wsiową gromadą—i to nie z jednej wioski — toczy się mściwa i zacięta, choć głucha i milcząca wojna. Śmiertelna walka, znacząca się po jednej stronie trupami zastrzelonych przez służbę leśną szkodników lub nawet niewinnych ofiar tychże — z drugiej: łuną podpalanych stogów dworskich, ciosami siekier, rąbiących owocowe kultury itp. aktami sabotażu.

Ponury ten obraz wsi został aż do końca konsekwentnie wyretuszowany: nie brakuje żadnego bodaj szczegółu czarnej i beznadziejnej, okrutnej rzeczywistości, wszystkie możliwe w tej sytuacji akcesoria zostały przez uważną autorkę umiejętnie wyzyskane.

Postarała się ona także o to, aby do jej *camery* nie padał żaden jaśniejszy promyk: niech wszystkie okna będą kirem zasłonięte, niech twarze tłum ma wynędzniałe, niech dzieci w wyschniętych piersiach matek nie znajdują kropli pokarmu, niechaj noce będą żałobnie czarne i srebrne, noce będące wrogiem i trwogą dla ludzi.

A nad tą ziemią udręki panuje Ostrzeń (autorka pamiętała i o efekcie i skojarzeniach dźwiękowych nazwy miejscowej), a dokoła niego krwawe legendy o ruinach lochów, w których dręczono niewolników, a gdzie dziś straszy... a w pałacu stary, ponury hrabia, kat służby i chłopów. Całe „ponure średniowiecze” w przystępnym skrócie i opatrzone sugestią lub nawet wyraźną wskazówką: pogromu dworów, wyrwania uwierającego w ciele wsi gwoździa, jakim są one w pojęciu p. Wasilewskiej; oddania ziemi bez wykupu bezrolnym i małorolnym.

[1]) Wanda Wasilewska. „Ziemia w jarzmie”. Powieść. Warszawa 1938. T-wo wydawnicze „Rój”. Str. 306.

Nawet niebo sprzymierzyło się z p. Ostrzeńskim przeciw Zacharczukom i Płyciakom: klęska posuchy wypala pastwiska i zasiewy, pomór padł na nierogaciznę i drób. Kościół także solidaryzuje się z pałacem, i jemu nie oszczędzono na kartach książki zjadliwych docinków i wyraźnych przekąsów.

Powieść kończy się podpaleniem i pogromem dworu przez wieś oraz spodziewaną za moment walką z policją. Ciepło wspominanych, aktów pospolitego sabotażu naliczyliśmy sporo.

Żeromski w „Przedwiośniu”, mającem być w jego intencjach aktem walki z komunizmem, pokazał ukryte sprężyny agitacji, ludzi, pozostających na bolszewickim etacie,— tutaj powieściopisarka pragnie nas przekonać o spontaniczności wiejskiej rewolty i dlatego dyskretnie przemilcza fakty, znane równie dobrze jej, jak i przeciętnemu gazet czytelnikowi.

O jednym nas nie przekonała, o pewności zysku, jaki rzekomo odnieśliby chłopi z komunistycznego przewrotu — już abstrahując od interesu całości - ojczyzny, bo o tym autorka, stojąc na stanowisku walki klas, bynajmniej nie myśli. Czytajmy liczne już dziś świadectwa zbiegów z „socjalistycznego raju” za naszą wschodnią granicą (patrz Iwana Sołoniewicza „Rosja w obozie koncentracyjnym”), a zresztą i bez nich wiemy dziś wszyscy, że ustrój komunistyczny jest wrogiem chłopa: kilkunasto-morgowego i nawet tego z gospodarstw „karłowatych”.

Przyjmując za uznany fakt pauperyzację chłopa polskiego, nie zapominamy i o anachroniźmie szukania przyczyn tego zjawiska w nieżyczliwym stosunku dworu do wsi oraz w nieistniejącej od pogromu r. 1863/4, przewadze ziemiaństwa.

Towarzysz Dymitrjew w nielegalnym „Nowym Przeglądzie”, w instrukcjach dla Komunistycznej Partii Polski (K. P. P.) wyraźnie i wielokrotnie nauczał swych podwładnych, aby *odium* socjalne proletariatu wiejskiego, niechęć do obecnego stanu rzeczy, na przesłankach ekonomicznych się fundujące, zwracać przeciw dworowi i plebanii. Bardzo to na rękę, ta komunistyczna taktyka, żydom, zwłaszcza w dzisiejszej, dojrzałej do rozstrzygnięć sytuacji. Ale nie wytrzyma ona próby życia: chłop już dziś sam zrozumiał, że miast żyć z nędznego połowu rybiej drobnicy na którejkolwiek z rzek, miast szukać dla wyżywienia inwentarza skójek i małży w mulistym jej dnie — winien obrócić nieustępliwe kroki w kierunku miast i miasteczek, do których dostępu broni mu przybłęda—żyd. Wówczas i nędza wsi, płynąca w pierwszym rzędzie z jej przeludnienia, z postępującego wciąż naprzód z pokolenia w pokolenie rozdrabniania ojcowizny, przestanie być wzruszającą powieściopisarzy i publicystów bolączką.

I jeszcze jedno: w powieści p. Wasilewskiej, pisanej wedle najlepszych, choćby opacznie pojętych wzorów, nie brak postaci Baryki — nauczyciela ludowego Wincentego, przyłączającego się do zbiorowego wystąpienia gromady wiejskiej w końcowym momencie chłopskiej rewolty. Czy to ma być wzór do naśladowania dla nauczycieli, czytających tę książkę: nierób i niedołęga, bez wpływu na dzieci i wrogich sobie rodziców, czujący przypływ energii dopiero podczas zajść, i galwanizującej go znagła, zbrojnej manifestacji, półinteligent miejski, rzucony na wieś, której nie rozumie i nie jest w stanie ukochać? Przecież to jedyny dziś prawie pomost, rzucony między kulturą miast i dzikością, pierwotnością bytowania ludu: szkoła z jej przymusem nauczania. Rola nauczyciela jest więc niesłychanej doniosłości społecznej i politycznej, nietylko oświatowej. Sylwetka skreślona na kartach książki budzi żywy niepokój,—rzecz ta nie powinna minąć bez echa. Nie chcemy wierzyć, aby postać „mistrza Wincentego“ była dla stosunków wiejskich typowa. ST. J.

NOWY TOM HAMSUNA

Życie i twórczość znakomitego pisarza norweskiego, autora „Głodu" (1888), „Włóczęgów" i „Augusta Powsinogi", mają w sobie wiele dziwnego czaru, zrodzonego w zetknięciu z prawdą i prostotą szarego, codziennego nurtu... Prostotą, której — nadmieńmy — nie obce są najwyższe wzloty poezji. Urodzony w 1860 r. w Lom (Gudbransdal) z ubogich rodziców, wychowany w społeczności rybackiej na wyspach Lofotach, młodość przepędził na licznych wędrówkach i ciągłej zmianie zawodu: kolejno—urzędnik handlowy, konduktor tramwajów w Ameryce, dziennikarz — wiele miał sposobności do rozbijania ramieniem i głową płynnej fali życia, do ciągłej z musu afirmacji doli jego i niedoli. Podobnie jak nasz Reymont, nigdy nie stał się biurkowym, miejskim literatem.

Ostatnia jego powieść [1]) z trudem chyba dałaby się zaklasyfikować do tak się dziś upowszechniającego rodzaju powieści—sagi. Owszem, dzieje rodu Teodora Jensena, kramarza w Segelfoss w północnej Norwegii, wyprowadzone już w drugiem pokoleniu, zajmują pokaźną część książki, nie mniej przeto rodzinna ta klechda nie wyczerpuje różnobarwnej kanwy utworu. Ubogi kraj nadbrzeżny, żyjący z okresowych połowów śledzi i łososi, oraz jałową paszą na wydmach karmiący nieliczne stadka krów i owiec, wiele impulsu życiowego, ochoty do dalszego, nędznego bytowania czerpie z dalekiej, przymglonej wizji zielonych lub żółtych, piaszczystych wysep, widnych wśród sieci prądów, w labiryncie cieśnin i bramowanych skalną calizną kanałów. Morze jest tutaj żywiołem, którego obecność rozumie się, choć nie nazywa się go z imienia. Jest arterią, tętniącą miarowym pulsem wysiłku i codziennego trudu.

Z odległych po nim wędrówek powrócił w dom August zwany Wszędobyszem, powsinoga bez domu własnego i kąta pod dachem, z odwiecznym, w pamięci przelewającym się rytmem chybotliwej fali, zaklętym w nienazwane kształty niespokojnej wyobraźni. Do niemrawo rozrastającej się osady—miasteczka Segelfoss wnosi August, zwan Wszędobyszem niezużyty zapas energii czynu i pełną głowę bajecznych pomysłów, w części tylko realnych, częściowo zaś w bujnej, nigdy nie sytej fantazji artysty wylęgłych. Małe ma pole do popisu, póki jako nic nie znaczący majsterek podejmuje się każdej roboty—umie zresztą nieomal wszystko, zna się zarówno na hartowaniu stali jak i na połączonych ze sporym hazardem, na los szczęścia, wyprawach pod żaglem naprzeciw idących nieznanymi szlakami ławic śledzi. Talenty swoje pokazuje w całej okazałości wówczas dopiero, gdy po udanym, niewidzianej od lat obfitości, połowie, z dużem powodzeniem buduje dla swego patrona, syna Teodora Kramarza, Gordona Tidemanda Jensena, autostradę w górach na miejsce dawnej, wiszącej nad przepaścią, niedostępnej stopom ludzkim perci.

To byłaby rzecz w pewnej mierze odpowiadająca ambicji twórczej Augusta z Polden, ale nie tu bynajmniej kres jego lotów. Sam już, coprawda dobrze nie pamięta, gdzie to — na Kaukazie czy w pampasach południowej Ameryki?—był właścicielem olbrzymich, w dziesiątki tysięcy idących kierdeli owiec. Mniejsza o to—dość, że pod wpływem nagłej idei postanawia zebrać na hali segelfosskiej nie mniej pokaźne stado. W tym czasie otrzymuje dziwnym trafem jak z niebios mannę, znaczny majątek od bliskiej sercem osoby, więc oto i nic nie stoi na przeszkodzie ku temu, by jeszcze jedną fantazję, wzorem lat dawnych, przyoblec w ciało.

Fantazje bogaczy stają się nierzadko dobrodziejstwem dla gołotnego gminu. Takiego prawa wewnętrznej równowagi społecznej domyślamy się w postrzeganym układzie pałacu i chaty jednookiennej na wydmach nadbrzeżnych Norwegii.

Nietylko bogacz, konsul brytyjski Gordon Tidemand, ale i średniej miary burżuj, aptekarz Holm, hojnie na rzecz ubóstwa w swej gminie świadczą, porządnie się nieraz dając wyzyskiwać. A cóż dopiero, gdy tak duży pieniądz dojdzie do rąk Augusta: topić się będzie z niepojętą szybkością, przechodząc w większych i mniejszych dawkach, w postaci dobrowolnych zapomóg lub bezczelnie wycyganianych pożyczek, do brudnych sakiewek okolicznej biedoty. W takiej, naturalnej formie uzyskuje się owo niezbędne krążenie wszelkiego nadmiaru życiowego — drogą od możnych i wielkich do maluczkich i prostaczków. Tak być powinno i w sferze życia duchowego, próżno się na to krzywią egoiści: jednostka niema moralnego tytułu do magazynowania, martwego gromadzenia dobra wszelakiego, którego normalnie dla obdzielenia całej gromady wystarczy.

Na tej, wysoko nad poziom codziennych spraw ludzkich, wzniesionej połoninie, pośród szarych głazów i złomów skalnych, odnalazł August najgłębszą swoją istotę wewnętrzną. Od wczesnych, nieproduktywnych fantazyj — igraszek dźwignął się na wyżyny sprawy ogólnej, troską swą objął współbraci: tysięczny kierdel owiec nie miał mu przynieść korzyści,—w zysku całej gminie nieznane jej przedtem pastwiska, których dla krów już brakło.

Tragiczny koniec Augusta, strąconego w przepaść przez oszalałe w przypadkowym popłochu stado owiec zamyka łańcuch niezwykłych wydarzeń, sprowadzając po sobie nieodmienny refren — ...a życie tworzy się dalej. Gdyż ono króluje na kartach tej książki, refleks jakiejś niedosiężnej, boskiej idei lub może jedna z tych długich, łamiących się na piasku przybrzeża fal morskich, co w pianę i drobne wełny rozbita nanosi ze sobą żyjątek wszelakich i szczątków, — tragiczna w ciągłej swojej porażce, do nowej jednak walki ze świeżym zapasem sił biegnąca. Na piasku gromadzą się naniesione odłamki i części przedmiotów, nieme świadki burz i katastrof, ale i one znikną w swym czasie, pokryte przezroczystą lub pomarszczoną gładzią... A życie toczy się dalej. ST. J.

[1]) Knut Hamsun. „A życie toczy się dalej". („*Men livet lever*"). Powieść, str. 428. Poznań. Wydawnictwo polskie (R. Wegner). Biblioteka laureatów Nobla, t. 80. Przekł. autoryzowany Czesława Kędzierskiego.

GĘSIE ANIOŁY

Kazimierze Alberti
autorce „Więcierza w głębinie"

Gęsie anioły, anielskie gęsi —
och, najcudniejszy jest wasz odlot,
gdy granat bije w beton z mięśni,
a trupy w błocie cuchną podle...

Jedwabne rączki, nóżki w jedwabiu
i oczy, oczy czarujące —
już paź królowej dawno się zabił
na tej samej, pamiętasz, łące...

I komplement wersalskiej szkoły
padł u stóp ostatnią krwawą różą —
żyją jeszcze gęsie anioły,
ale pazie już im nie służą.

I turniejów o order podwiązki
Dulcynei już dawno nie mamy
i nie kona, o niebiańskie gąski —
żaden rycerz wśród oklasków dla damy.

Samotnicze gęsi anielskie —
pozdrawiamy wasz krzyk z błękitu
nabitym na bagnet cielskiem,
stalowym o kości zgrzytem.

Cześć i honor wszystkim walczącym
po żołniersku i w dobrej wierze —
czołem każdej ranie pod słońcem,
cześć każdemu, kto się czuje żołnierzem!

Chwała kosom, na sztorc osadzonym,
póki łąki się nie tnie przed świtem,
chwała działom, przelanym na dzwony,
ale przedtem na wojnie zdobytym!

Dobra ręko żołnierska, krwawa,
odpoczywaj po wieki wieczne —
całujemy cię my, twoja sprawa,
syny wolne i wnuki bezpieczne.

Nie czas jeszcze na łoże z puchu,
nie wołajcie legij do Kapui —
zdrowiej im gdy rzygają w zaduchu
własną krew, cudowny swój napój.

Trudno, — czułe, anielskie gęsi —
Pan Bóg ciągle ziemskie ciasto młode
krwawym krzyżem, aby rosło, mięsi,
a podlewać krwią muszą narody.

I nie będziem w pokoju pożywać
swego chleba, jeno w pocie czoła —
i wasz odlot w samotność odrywał
nas nie będzie od szabli gołej.

Nie stępicie żadnego ostrza
do boju, czy do orki na polu —
idźcie czuwać—to sprawa prostsza —
jak gęsi na Kapitolu.

Nie? to lećcie na wyraj zdrowe
i nie bójcie się, kiedy wśród łąki
powitają was w hełmach szturmowych
bohaterskie Japonki.

TADEUSZ DWORAK

NOWE KSIĄŻKI

Literatura polska:

T. I. cz. 1. Jul. Balicki, Stan. Maykowski. Wypisy z literatury polskiej. Od początku do 1830 r. Z 57 ilustr.

T. I. cz. 2. Jul. Kleiner, Al. Brückner. Zarys dziejów literatury polskiej i języka polskiego. T. I. Z 56 il. i 5 tabl.

T. I. cz. 3 Zenon Aleksandrowicz. Materiały pomocnicze do literatury polskiej. T. I. Z 21 ilustr.

Lwów. Wyd. Ossolineum.

Sienkiewicz Henryk. Pisma w układzie I. Chrzanowskiego. Tomy 41, 44, 45, 46. Publicystyka. Wydanie L. Bernackiego. T. I. IV. V. VI. Geb. i Wolff. Nakład Ossolineum.

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWY W „IPSIE"

INSTYTUT Propagandy Sztuki udzielił tym razem gościny 4 plastykom: Dunikowskiemu, Wład. Jarockiemu, Karolowi Hillerowi i Henrykowi Gotlibowi.

Dunikowski, jeden z najświetniejszych współczesnych rzeźbiarzy polskich, wystąpił z wystawą prac malarskich. Sam fakt, iż plastyk pracujący — i to nader owocnie — w jednej dziedzinie sztuki, zainteresował się drugą, nie jest bynajmniej zdarzeniem osobliwym. Zajmującym zjawiskiem wydaje nam się raczej tak późny zwrot ku malarstwu, po tylu wspaniałych latach, wypełnionych bez reszty twórczością rzeźbiarską. Jeśli Dunikowski zaczął teraz malować, to zapewne zatęsknił za kolorem, bo przecież nie o samą zmianę metier (dla rozmaitości) tu chodziło. Dla pełnego wyżycia się artysty zabrakło jeszcze jednego akordu i właśnie Dunikowski począł go szukać. Polecam ten objaw uwadze uczonych badaczów psychologii twórczości, sam tylko nadmienię, iż *casus* z Dunikowskim świadczy przeciwko pewnemu, dość popularnemu, lecz niesłusznemu mniemaniu. A mianowicie wielu uważa, że się zostaje rzeźbiarzem, np. nie tylko z racji specjalnej predylekcji do rzeźbiarstwa, ale również z powodu jednoczesnego braku zdolności w innym kierunku. Znam malarza, który twierdził z zupełnie poważną miną, że graficy dlatego pewno się zajmują grafiką, bo koloru nie czują.

Tymczasem już pobieżne zapoznanie się z pracami malarskimi Dunikowskiego zadaje kłam tej naiwnej, lecz upartej gadce. Usterki jego prac wynikają jedynie z braku należytego doświadczenia malarskiego i niewątpliwie znikną, jeśli rzeźbiarz nadal zechce pracować w tym kierunku. Dunikowski ma poczucie koloru, jest śmiały i zdecydowany, maluje zamaszyście i szeroko. Twarz kobiecą, w swoich portretach, traktuje nie jak okazję do wymodelowania „główki", lecz jako studium charakterystyczne, wygrane zespołem plam barwnych, o niewątpliwych tendencjach. Już dziś, przy dzisiejszym stanie „zaawansowania" malarskiego znakomitego rzeźbiarza, jego malowidła nic nie tracą z powodu sąsiedztwa z dziełami oficjalnego nauczyciela malarstwa, w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, prof. Jarockiego.

Kilka małych obrazków Gotliba posiada niewątpliwe zalety kolorystyczne, ale jego większe płótna zgoła irytują. Duży obraz kompozycję pojmuje Gotlib jako zupełnie mechaniczne powiększenie małego szkicu. W szkicu wystarcza oznaczenie sylwetki ludzkiej, np. plamą, kleksem pendzla, ale w wielkim obrazie taka plama, rozdęta do niebywałych rozmiarów, staje się pusta i nudna. Nie potrafi wypełnić jej malarz, ani interesująco narysowanym kształtem, ani rozbić jej zbyt dużego pola żadną ciekawszą treścią malarską. Niechlujstwo rysunkowe Gotliba nadto już jest rażące i nie trzeba zbytnio filozofować, by dojść do tego przeświadczenia.

Sztuka Hillera, niestety, to dawno już stwierdzone nieporozumienie. Piszę: niestety, gdyż wydaje mi się, iż sam stosunek artysty do niej jest szczery i poważny. Czas jednak skończyć z tymi abstrakcjami w obrazie. Obrazu nie należy upodabniać do kilimu, choćby ten posiadał jaknajbardziej modernistyczny wzór. Takie kompozycje, pojęte jako dekoracja ścienna, powinny się znaleźć wprost na niej (t. zn. ścianie), bo obraz nie może być tylko zespołem, nawet najmądrzej ułożonych, plam. Z tych racji, do najbardziej przekonywujących prac Hillera zaliczam niektóre jego heliografiki, w których można odnaleźć trop prowadzący ku pewnej fantastycznej rzeczywistości.

Uczony wstęp do katalogu dzieł Hillera napisał bardzo kiepską i mętną polszczyzną dr M. Minich, Kierownik Miejskiego Muzeum w Łodzi. Łódzkie Muzeum zorganizowało także tą wystawę.

WIKTOR PODOSKI

POKŁOSIE

CZY KONIEC MARZEŃ?

SĄDZĄC z głosów prasy i dość licznych w ostatnich czasach artykułów na tematy populacyjne, opinia publiczna u nas zaczyna sobie wreszcie zdawać sprawę z fatalnej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się w skutek postępującego stale spadku liczby urodzeń. Nawet w sejmie bąknięto coś o tym. Jednak wciąż się mówi o malejącym przyroście naturalnym, gdy tymczasem sytuacja jest znacznie gorsza, bo możliwe jest iż tego przyrostu faktycznie już wcale nie mamy, że weszliśmy w okres tzw. stabilizacji ludnościowej.

Statystyka wykazuje przewagę liczby urodzeń nad liczbą zgonów wprawdzie co roku mniejszą, ale zawsze przewagę, a więc wzrost ogólnej liczby ludności, ale jak tu pisaliśmy już, dzisiejsza wiedza o ruchu ludności nie uznaje tego wskaźnika (tzw. przyrostu naturalnego) za miarodajny, gdyż wskutek rozmaitych przyczyn, mających swe źródło w strukturze narodu, jego podziału według kategorii wieku i t. p. przewaga urodzeń nad zgonami może jakiś czas istnieć, mimo że naród faktycznie przestał już rosnąć liczebnie, gdyż zmalały liczebnie te kategorie ludności, które są miarodajne do dalszego rozrostu, a więc kategorie młode, będące, lub zbliżające się do wieku rozrodczego. Jeden ze statystyków francuskich nazwał tzw. przyrost naturalny „fałszywym biiansem", nie biorącym pod uwagę konieczności amortyzacji. Prawdziwą miarą wzrostu, lub zmniejszenia się narodu jest tzw. współczynnik reprodukcji: liczba wskazująca, czy dane pokolenie zostawia po sobie większą, równą, czy też mniejszą liczbę następców. Obliczanie tego współczynnika jest nie bardzo łatwe, wymaga dokładnych danych co do płodności w rozmaitych kategoriach wieku i tzw. tablic wymieralności, opartych na wieloletnim doświadczeniu.

Współczynnik reprodukcji obliczono np. dla Francji na 0,87 tzn., że 100 osób pozostawia po sobie tylko 87 następców. Stan ten trwa już od dość dawna, a mimo to do ostatnich lat istniała przewaga urodzeń nad zgonami i dopiero od trzech lat ukazał się faktyczny deficyt.

Jak sprawy te stoją u nas? Jeszcze kilka lat temu nikt się tym nie zajmował, ale bardzo silny spadek urodzeń zwrócił na nie uwagę. I oto okazało się, że nasz współczynnik reprodukcii jest wprawdzie jeszcze większy od jedności, ale już nie wiele, mianowicie wynosi 1,1, a więc zmniejszenie tylko o 10% zrówna go z jednością, co oznacza iż obecne pokolenie zostawia po sobie tyleż osób ile samo liczy, czyli naród przestanie wzrastać liczebnie.

Od czasu tych obliczeń minęło parę lat i to nie pomyślnych pod tym względem: liczba urodzeń spadała niemal bez ustanku, a w ostatnim roku nastąpił spadek bardzo gwałtowny. Mamy dotychczas liczby za trzy tylko kwartały 1937 roku i te są fatalne: urodziło się w tych trzech kwartałach r. 1937 o 25 tysięcy dzieci mniej, niż w tym samym okresie roku poprzedniego. Przez sam więc ubiegły rok zbliżyliśmy się znacznie do stanu „stabilizacji", a ponieważ lata poprzednie również dobre nie były, więc jest bardzo możliwe, żeśmy tę fatalną stabilizację już osiągnęli. Fatalną, bo przecież jasne jest, iż oznacza ona przekreślenie wszelkich nadziei i marzeń o naprawdę mocarstwowej roli Polski. A wobec wzrostu sąsiadów, może nas spotkać tylko degradacja.

To nie wyczerpuje jednak jeszcze całej kwestii. Spadek urodzeń jest mniejszy na wschodzie o ludności mieszanej, niż w centrum i na zachodzie, a więc w miarę trwania takiego stanu stosunek procentowy mniejszości narodowych będzie się przesuwał na niekorzyść ludności rdzennie polskiej. O znaczeniu tego procesu nie ma się co rozwodzić.

A stosunki wewnątrz społeczeństwa polskiego? Nie posiadamy danych urzędowych o rozrodczości poszczególnych warstw, ale kilka ankiet prywatnych i obserwacja stosunków poucza nas w niejednej materii. Wiec np. ankieta przeprowadzona przed kilka laty w sferach inteligencji urzędniczej wykazała, iż na 100 małżeństw tej sfery przypada 102,7 dzieci, znacznie mniej niż np. w tej samej sferze we Francji, lub Anglii. Ankieta wśród literatów wykazała 101 dziecko na 100 małżeństw. Wśród lekarzy jest nieco lepiej, ale też bynajmniej nie dobrze: 153 dzieci na 100 małżeństw. Cyfry te odpowiadają niewątpliwie rzeczywistym stosunkom, dość rozejrzeć się w znajomych małżeństwach powojennych. A co te cyfry oznaczają? Poprostu to, że inteligencja nasza skazuje się na gwałtowne wymieranie, gdyż już w następnem pokoleniu będzie o połowę mniej liczna od obecnego. Zaledwie więc jakaś grupa dojdzie do nieco wyższego stopnia cywilizacji, a już wymrze i miejsce jej zajmą grupy świeże, surowe. Jakaż może być wobec tego mowa o ciągłości tradycji, kultury i t. d., a więc i o rozwoju narodu?

Czy mamy na wszystkich tych sprawach pozostawić krzyżyk i zrezygnowawszy z przyszłości oddać się możliwie wygodnemu wykorzystaniu teraźniejszości?

ARGUS

NA MARGINESIE

Informacja w stylu hrabykowym.

Śledztwo w sprawie dziwnego pozornie zdarzenia z listami, podniesionej w interpelacji sejmowej przez jednego z posłów, doprowadzi, jak się zdaje, do zgoła odmiennych wyników, niż te, które interpelacja przewidywała.

Wobec wyraźnego brzmienia Konstytucji w sprawie tajemnicy pocztowej, odpada możliwość przypuszczenia, że listy zamienione zostały na poczcie. Śledztwo podąża w kierunku zbadania ewentualności, czy przypadkiem autorowie listów nie pisali takowych w jednym pokoju, bodaj przy jednym stole i czy sami nie pomylili kopert, a potem rozjechawszy się rzucili listy do swoich skrzynek.

Sprawa nabrałaby szczególnej pikanterii, gdyby się okazało, że pomyłka nie była mimowolna i że miała na celu skomprowitowanie poczty i reżimu.

Na razie szczegóły śledztwa trzymane są w tajemnicy, a to dla dobra sprawy.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.